



Spraw. gimn. w Jarle 1902.

Rokosz Jerzego Lubomirskiego w poezyi.

Napisał

ST. KOPROWICZ.

I.

Część historyczna.

Chcąc nakreślić choć w przybliżeniu dokładny wizerunek Lubomirskiego, tej postaci niezwyklej miary, tego wielkiego człowieka, chcąc wniknąć nieledwie w tę duszę i otworzyć to sumienie dziwne, wyczytać z niego pragnienia i namiętności, które jak wichry miotaly niem i przerzucały z jednej ostateczności w drugą; chcąc doszukać się w tej mieszaniu przeróżnych uczuć jakiejś jednej, choćby złej namiętności, która opanowawszy tego człowieka, popychała go stale w jednym raz obranym kierunku i nadała mu wybitną cechę, godną jego wielkości, chcąc, mówimy, poznać charakter Lubomirskiego, trzeba się zapoznać z jego otoczeniem, z czasami jego działania, trzeba wejść w szczegóły, podmalować należycie tło historyczne, aby z niego wydobyć na pierwszy plan i uderzyć odrazu czytelnika, że ma do czynienia z człowiekiem, który ogarnął i wypełnił sobą nieledwie 5 lat dziejów polskich od 1661—6 roku i zaważył bardzo na szali pojęć i sądów potomności o w. XVII., w szczególności o nim samym.

Z niemałą przykrością, a prawie zawsze z żalem wspominamy ten w. XVII. Dlaczego? Na to mamy odpowiedź o ile dobitną i piękną, o tyle smutną, bo prawdziwą: „Na w. XVII. patrzeć nie tak miło: tam już wszystko okazuje się w ponurem, złowrogim oświeceniu, jak kiedy w jesieni z pod czarnych chmur padną z ukosa promienie słońca, same jakieś czerwone, smutne i przykre. Czuje się, że po takim zachodzie przyjdzie noc czarna i burzliwa, noc przychylna błędzeniu, niebezpieczeństwom, rabunkom i mordom“.*)

Wiek to bez wybitnych cech i znamion jest jednak przedmiotem do badania bardzo ciekawym i pojętnym dla historyka, który krąży „koło tego puszczy litewskich łoża“, a boi się wejść i zbadać ich wnętrza, by nie nadeptać jadowitych żmij, które się w tym wieku wylęły i szuka naprózno dalszego ciągu minionego wieku. Radby znaleźć jakiś postęp, ale nie — na każdym polu zastój i ten miły wczas, a tu chmury gromadzą się i coraz ich więcej i coraz czarniejsze.

Zrywane sejmy, rokosze wojska, nie wyzyskanie zwycięstw, niejasna a zawsze szkodliwa polityka, nieczne praktyki z zagranicą, wzmaganie się, a raczej powiedzmy rozbudzanie przez panujących potęgi oligarchów, którzy trzęśli podstawami państwa, aż wreszcie gmach runął: oto grzechy tego wieku, który robił raczej to, czego nie powinien, a nie spełnił wielkich zadań, przekazanych mu przez w. XVI. a z drugiej strony wynikających z położenia politycznego Polski i krajów ościennych.

Albo heroizm posunięty do fanatyzmu, albo dziwna niemoc i bezradność.

A przecież Polska jeszcze politycznie potężna ma w życiu prywatnem równie wielkie i piękne czyny. Są Piławce i Ujście prawda, ale obok Częstochowa, Chocim, Wiedeń. Jest Radziejowski, Radziwiłł, Lubomirski, ale jak cienie nocy przed brzaskiem dnia, tak ich nieczne czyny blednieją przed blaskiem

*) Stanisław Tarnowski: Stud. do hist. liter. polsk. Henryk Sienkiewicz.

aureoli otaczającej Żółkiewskiego, Czarnieckiego, ks. Kordeckiego. Jedni, jak zbrodniarze, jak Judasze zaprzędają za marny grosz, za dogodzenie swojej dumie niby obrażonej, ojczyznę i rzucają ją bez litości na pastwę grabieży obcych najezdników, dyszą szatańską zemstą i na jej czarnych, skrwawionych skrzydłach chcą się wzbić tem wyżej, im niżej potem upaść mają na przykład, na kajanie innym: drudzy krwią własną, modlitwą wykupują zaprzędany przez zdrajców kraj, kleją rozszarpane części, a w tej niezmordowanej pracy tacy czysti, tacy pełni cudowności, niemal święci. I znowu pewnym spoczynkiem dla duszy, której tak duszno w tej nieczystej atmosferze zdrajców, są słowa, już raz wspomnianego autora: „Ale wśród tych ciemności zapadających, gdzie jeszcze żywszy promień słońca dostrzeli, tam sprawi światło tak jasne, tak uroczne, że to, co w niem jest, wydaje się, nie jak oświecone zwykłym południem, ale jakąś nie ziemską, świętą jasnością“. — Tak zapewne! ale niestety czuje się, że coś w tym gmachu narodu się psuje, rozchodzą się spojenia, rysują się mury i z czasem uczyni się wyłom, którym wejdzie najezdnik i rozpanoszy się wszechwładnie. Dlatego ten wiek budzi taki niesmak, a raczej smak goryczy, której te odbłyśki piękna i dobra nie mogą skutecznie, całkowicie usunąć.

„Wiek XVII. nie za to oskarżenia godny, że w nim tyle złego, — ale za to, że nie dość czynny, że nie chwyta za dobre, pozwala mu upaść, a przez swoją opieszałość, milczeniem niejako pozwala na rozrost złego. Gdyby był ten wiek umiał wyzyskać polityczne położenie u siebie i za granicą, gdyby wyzyskał każde zwycięstwo, gdyby był zrobił, co powinien i zrobił z celem, to te wewnętrzne słabości, to rozprężenie nie byłoby miało tak doniosłego znaczenia. Nie żał za złe, które się stało, ale żał, że tyle dobrych chęci i wielkich myśli upadło, że tyle dobrych okoliczności pominięto“.

To tło ogólne całego wieku. Nam chodzi o panowanie J. Kazimierza, o kilka tylko lat przed jego abdykacją, kiedy pełen wielkich myśli i planów, ale złamany niepowodzeniami,

a głównie wojną domową, złożył ten król nieszczęścia cieniową koronę. Rządy J. Kazimierza, to jakby jedno pasmo nieszczęść, coraz gorszych dla Rpl., dla niego samego.

Rok 1648 jest początkiem nieszczęść, które odtąd szerokim korytem zalewać miały Rpl. Cała Kozaczyzna, drażniona oddawna, coraz zuchwalsza i niebezpieczniejsza, jak wezbrana rzeka zerwała wszelkie zapory i pchając przed sobą całą czerń tatarską, z groźnym pomrukiem posuwała się ku Polsce. Czy tę burzę można było jeszcze zażegnać lub czy się powinno było do niej dopuścić, o tem niech historia sądzi; my stajemy wobec tej lawiny niszczącej, poprzedzonej strachem, rzezią i mordem, a zostawiającej po sobie tylko spalony step i zgłiszcza. A dalej wojna moskiewska i nawała szwedzka, w końcu konfederacje wojsk, zrywane sejmy i rokosz otwarty, zamykają krwawą kartę naszych dziejów za J. Kazimierza.

A w tym potopie gromów i nieszczęść zdarzy się jeszcze chwila jaśniejsza, z tej powodzi zwątpień i rozpaczy wypływa Częstochowa jak arka ocalenia, od której jak od opoki odbiły się fale północnego najeźdźcy, u której stóp skruszała ta potężna druzgocąca, po której przejściu, zdawało się, nie zostanie kamień na kamieniu. I od tej obrony zaczyna się okres weselszy, okres zwycięstw, przebudzenia narodu.

Wiemy, jak zgubnym w skutkach dla państwa choćby najpotężniejszego jest tron elekcyjny; wiemy, czem są bezkrólewia, gdy ustaje wszelka władza, a przemoc, intrygi, roznamiętnienie umysłów owładną sterem i kołyszą tą masą wyborców na wszystkie strony. Wiemy najlepiej, czem dla Polski była wolna elekcya; jak każde bezkrólewie podawało naród na igraszkę roznamiętnionych tłumów, obcych intrygantów i wewnętrznych wichrzycieli J. Kazimierz, dzielny żołnierz, zawołany wódz, ale niedość przewidujący polityk i niebiegły dyplomata, a przytem chwilami słaby i chwiejny, powziął myśl nietylko genialną, ale bardzo zdrową i zbawienną, aby za swego jeszcze życia przeprowadzić wybór następcy. Nie była to myśl nowa, bo jej zasiew jeszcze za Batorego, teraz rozwinęła się

pod wpływem i naciskiem wypadków. Był to jedyny sposób uchronienia Polski wycieńczonej trzema ogromnemi, pełnemi ofiar wojnami, zostającej poniekąd na łasce nieprzyjaciół, osaczających gojący się z ran naród, jedyny sposób zażegnania burzy bezkrólewia, a przez to oszczędzenia Rpl. anarchicznych wstrząśnień, stłumienie ich w samym zarodku, a więc postawienie chwilowo mocnej zapory przed nadchodzącą burzą i jej skutkami — upadkiem narodu.

Ta myśl rozstrząsana, wspomniana mimochodem już za wojny szwedzkiej, służąca czasem do przejednania nieprzyjaciół lub zyskania nowych sprzymierzeńców, teraz, w ostatnich latach panowania J. Kazimierza stała się przedmiotem gorączkowych zabiegów dworu. Sprawa nie była wcale łatwa, bo najpierw trzeba było pomyśleć o następcy, a potem jego wybór przeprowadzić, co było jeszcze trudniejsze.

W Europie w drugiej połowie XVII. w. toczył się zacięty bój na śmierć i życie między Francją a Austryą. Tajne dyplomacye, intrygi i złoto z jednej strony, tradycye wiekowe z drugiej, stanowiły broń rywalizujących ze sobą państw. Że głosy tej zaciętej walki odbiły się echem w Polsce, to naturalne, że zapaśnicy nie mogli lekceważyć potężnej jeszcze sąsiadki, która ze swoim ustrojem sama niejako otwierała drogę do zdobycia nie małego, a w tej rywalizacji rozstrzygającego wpływu, to zbyt wyraźne. To też nie dziw, że tak Francya jak i Austria używały wszelkich środków i ofiar, by ta myśl dworu polskiego wybrania następcy za życia króla nie upadła, ale jak najprędzej weszła w czyn. Pokój oliwski przechylił szalę i umocnił wpływ Francyi w Polsce, ale główną rolę odegrała tu Marya Ludwika.

Rodowita Francuska, zostająca pod wpływem wspomnień młodości i tradycyi rodzinnych, przechylała się zawsze na stronę Francyi, której panujący nietylko budził ogólny podziw i uwielbienie, ale mógł w danej chwili być silnem oparciem. To ostatnie, sądzimy, było powodem ściślejszego sojuszu z Francją. Sama królowa, w której żyłach płynęło trochę gorącej

krwi włoskiej, była kobietą niezwykłą, wyjątkową. Umysł żywy i ruchliwy; niespokojna i zawsze do działania pochopna natura; pewna giętkość polityczna i zmysł dyplomatyczny kierują nią i nadają jej działaniu cechę prawie namiętności, żądzy, z jaką chciała skupić w swoim ręku wszystkie nici tej dyplomacyi.

Że ma ujemne strony — któż ich nie ma? — że czasem trzyma się zasady, że „cel uświęca środki“ i wtedy nie krępuje się żadnymi względami, byle tylko dopiąć swego, o tem wiemy; że nie obce są jej intrygi, które nigdy nie są usprawiedliwione, o tem w ciągu rozwijania się polityki dworu aż nadto dobrze się przekonamy. Królowa upatrzyła na następcę tronu ks. Henryka d'Enghien, syna słynnego Kondusza, któremu za żonę oddała swoją siostrzenicę Annę, Henrykę, Julię. Ta myśl spełniała jej duszę, stała się poniekąd celem życia, które w przeprowadzeniu tych zamierzonych planów miało znaleźć nagrodę za liczne burze młodości i słabości kobiety. A tu tymczasem nie małe piętrzyły się trudności i trzeba było rzeczywiście wielkiej przebiegłości dyplomatycznej, pewnej męskiej sprężystości, aby dojść do celu.

Jerzy Lubomirski, marszałek wielki koronny i hetman polny, który z początku gotów był popierać zamiary dworu, naraz obrażony cofa się w pół drogi i z życzliwego, wpływowego stronnika przerzuca się na stronę opozycyi, przyjmuje na siebie rolę obrońcy swobód i złotej wolności szlacheckiej, a rzuciwszy raz kości, udaremnia wszystkie działania dworu.

Czy miał jakie słuszne i dość ważne ku temu powody, które go popchnęły do wywołania wojny domowej, do podniesienia oręża przeciw osobie i majestatowi króla, odpowiedź o ile bardzo konieczna dla rozwiązania tego gordyjskiego węzła, o tyle trudna, bo nie wiemy, czy przeważały w ciągu tej całej zgubnej działalności podszepty dworów zagranicznych, czy tylko prywatne zawiści, czy, co najgorsze, to przypuszczenie, że ten dumny człowiek dał się unieść bezgranicznej ambicyi ozdobienia własnych skroni koroną polską, czy też wszystkie czynniki razem na to wpływały?

Ta dusza zamknięta w sobie, skryta, fałszywa, wprost przewrotna, a przytem nie zdradzająca się nigdy żadnem słowem ni pismem, zawsze zamaskowana i mgłą tajemnicy przyślonięta, była zagadką dla współczesnych, którzy bądźto jemu służąc, bądźteż dzieląc sympatye dworu, wmięszani byli w całą sprawę i mogli przecieź pochwytać choć niektóre nici tej sieci intryg, mogli usłyszeć ja'ieś nieopatrznie, w zapale wypowiedziane słowo, któreby zdradziło wewnętrzną burzę w duszy marszałka. Na sejmie 1661 r. wniósł król projekt elekcyi, ale sejm sprzeciwił się oczywiście za sprawą Lubomirskiego i król musiał na razie cofnąć się. A tymczasem wojsko, będące na wojnie moskiewskiej, nie otrzymało żołdu i zawiązało t. zw. „Związek Święcony“, któremu marszałkował S 'an Świdorski.

Wojsko zbuntowane może oddać niesłychane usługi partynom wicherzącym, więc tak dwór jak i Lubomirski, nie zdając sobie sprawy, do czego to może doprowadzić i jak demoralizujący wpływ wyrzec na cały naród, ubiegają się o to, by niezadowolonych przeciagnąć na swoją stronę. Wojsko, raczej ta niesforna, burzliwa, chwiejna masa szlachty, widząc, że jej kaddą, zrozumiała doniosłość chwili i z niezadowolonych malkontentów stała się groźną rewolucją wojskową. Sejm z r. 1662 zerwany, ginie zamordowany przez żołnierzy hetman polny litewski, Gosiewski, umysły rozgorączkowane nie chcą słyszeć o elekcyi. Cała sprawa przybiera groźną postać.

Dwór nie chce się wyrzec swoich zamiarów, zaciąga nowe wojsko i tworzy konfederacyę: „Związek Pobożny“, ale równocześnie komisye udają się do wojska, by uspokoić wzburzonych i doprowadzić do jakiegoś porozumienia. Niestety, już było zapóźno, bo Lubomirski przez ten czas układów dworu z wojskiem z całą chytrością lisa podzegał je i dążył do protektoratu. Nie przyszło wprawdzie do rozlewu krwi, ale zarzewie wojny domowej już tliło i miało niedługo dość wielkim wybuchnąć płomieniem.

Sejm z r. 1664 pozywa marszałka, skazuje go na banicyę i infamię.

„Iacta alea esto“ powiedział z pewnością Lubomirski, kiedy zaprotestowawszy przeciw prawomocności wyroku sejmowego, udał się na Śląsk i stamtąd rozpoczął konszachty z dworami: austriackim i brandenburskim.

Jeżeli do tej chwili nie zdawał sobie jeszcze sprawy, dlaczego tak niegodnie postępuje, dlaczego podsycą wojnę domową, do czego dąży, to teraz pewnie zrobił rachunek z własnem sumieniem i z drogi raz obranej się nie cofnął. W człowieka wstąpił szatan, marszałek hetmani rokoszanom, nienasycony w swych ambicyach magnat szuka krwawej zemsty.

Kto winien? na kogo spadnie ciężar rozlanej krwi? kogo czeka sąd potomności...? Nie winimy dworu, a głównie królowej za podjęcie tej wielkiej i zbawiennej myśli, ale jeśli przyjdzie odpowiedzieć na pytanie, czy robota była zawsze godziwa i dobra, czy nie chodziło tu o postawienie na swoim za jakąbądź cenę, mimo że trudności były tak wielkie, tak jasne, wtedy bez wahania powiemy, że środki, którymi się posługiwano, były złe.

A Lubomirski? czy słusznie na ławie oskarżonych? Tak! Winien dwór, że intrygował w tak czystej sprawie, ale on senator, filar Rpl., urzędnik, człowiek rozumny i wierzący w dobrą stronę projektu, bo go z początku popierał, on dał się unieść na bezdroża niepohamowanej pysze i zamiast bronić ojczyzny, stratowanej kopytami trzech najeźdźców, on zaślepiony poświęca dla prywaty dobro publiczne, honor narodu i własnego domu; on szukający pomocy u obcych, aby wytrącić broń z ręki własnego króla. — Lubomirski staje przed sądem potomności z piętnem buntownika, zdrajcy.

On nie pierwszy i nie ostatni, bo poprzedza go Zebrzydowski, Radziwiłł, Opaliński, Radziejowski, ale za to najgorszy, bo to zdrajca więcej demoralizujący.

Zebrawszy na Śląsku znaczne wojsko, wkracza Lubomirski przez Duklę do Polski i rosnąc z każdym dniem w siły, staje pod Częstochową w r. 1665. Niedawno Szwed rozbił się o tę opokę i ze wstydem ustąpił, teraz własni synowie kryją

się w cieniu, jaki rzuca kościół na Jasnej Górze, aby knuć zbrodnicze zamiary. Po małej utarczce skłania się Lubomirski do zgody, udaje się na Śląsk, by jednak wkrótce powrócić z większą siłą, zniszczyć wojska królewskie pod Mątwami, zagrozić nawet Warszawie i wymusić na królu ugodę podpisaną w Łęgonicach nad Pilicą, mocą której zrzeka się J. Kazimierz wszelkiej myśli o elekcji za swego życia.

Lubomirski umiera — myśl ulubiona wraca, ale sejm nieweczy plany dworu. Głównie jednak brakło królowej, której energia podtrzymywała całą sprawę.

To krótkie dzieje rokoszu Lubomirskiego według historii.



II.

Kochowski, Odyniec i Szajnocha.

Zamierzyliśmy jednak pisać o Lubomirskim, nie jakim był w historii, ale jak go nam przedstawia poezya, czy trzyma się ściśle faktów historycznych, czy też odstępując pod tym lub owym względem od surowego materiału historycznego, wlała w tę postać jakieś inne uczucia, uwydatniła pewne znamiona tej nierównej i zawilej natury.

Wielkie wypadki, ludzie niezwykłej miary, którzy wypełniają sobą w. XVII. znajdują tylko słabe odbicie w poezyi. Tu i ówdzie mamy tylko wzmianki, powierzchowne ogólniki, „rymowane kroniki“, a zresztą milczenie, jakby pisarze tego okresu byli jedynie obojętnymi widzami.

Nie dziwi nas więc wobec takiego stanu, że postać Lubomirskiego, która była jakiś czas osiłą wypadków, tak mało jest wspominana we współczesnej literaturze.

Są zaledwie pobieżne wzmianki u współczesnych pamiętnikarzy, jak u Albrechta Radziwiłła, bardzo przychylnie dla marszałka, dalej u Paska, który brał czynny udział w bitwie pod Mątwanami. Ten mimo, że był regalista, to jednak życzył powodzenia orężowi Lubomirskiego, a nawet „skoro poczęto bardzo golić, mówi, przewiązałem sobie rękę nad łokciem — to był znak ludzi Lubomirskiego — i nie bardzo od nich stroniłem“. Nie potrzebujemy, znając prawdomówność Paska, przyjmować jego zapisków o tej sprawie dogmatycznie, podaje nam to tylko jeden dowód więcej popularności Lubomirskiego i jego sprawy z dworem, zwłaszcza, że to pisze typ szlachcica XVII. wieku, jego cnót i wad, sądów i przekonań.

Najważniejszym lubo jednostronnem źródłem do osądzenia Lubomirskiego jest Kochowskiego „Kamień świadectwa wielkiego w Rzeczypospolitej senatora niewinności“.

Na Kochowskim najlepiej odbija się ten brak głębszego wykształcenia w. XVII., a przeżuwanie tylko pierwiastków i form w. XVI. Brak sztuki i artyzmu, ale za to cały poemat zapechany mitologią ma zakrój na wielkie dzieło, a kończy się pobieźnie, sucho.

Najpierw przedstawia nam poeta ten wielki antagonizm między dworem francuskim a austriackim, te intrygi i polityczne kruczki, aby jeśli już nie zupełnie podkopać przeciwnika, to przynajmniej na długo uczynić go nieszkodliwym. Ludwik XIV. kłóci królestwa Europy, rozrzuca obficie pieniądze, bo „bo boli to Franków i gryzą się wiecznie, nie chcąc przed sobą mieć Niemców koniecznie“, więc „bliskie podwodzą sąsiady“ i coraz większą nienawiścią ku sobie pałają.

Czarne duchy z piekła, głównie Macchiavelli i Richelie sprysięgają się na zgubę wolności, która jeszcze w Polsce się znajduje.

„Z tądże imprezą niesłuszną zaiste
Polsce wtrącają na tron Kondeusza,
Chociaż statuta i prawa ojczyste
Jawnie ten zawód wali i porusza;
Darmo Frankowie, Bóg króle rozdaje.
Najwyższy sobie zostawił od wieka
Order, rozdawać sceptra i korony“.

Odrazu więc widzimy, jakimi argumentami będzie Kochowski walczył. Propozycya elekcyi za życia króla nietylko się sprzeciwia kardynalnym prawom narodu, ale wprost zmierza się na obalenie praw Boga, który jeden wie, jakiego króla Polsce trzeba i takiego wyborem natchnie wyborców.

Dwór więc jak ten odyniec osaczony w puszczy, czując śmiertelny grot w piersiach, kaleczy na wszystkie strony, wściekłością i gniewem miotany i na niewinnych mści się drzewach.

Kochowski nie miał osobistych pobudek do bronienia Lubomirskiego, ale on głównie tej sprawy nie rozumiał, a powtórę jest wiernym synem swego czasu: „Pieszczona wolność“ go odurza; sama myśl wystąpienia przeciw tej wolności oburza go i każe mu jej bronić do upadłego, choćby otchłanie miały się na niego zwalić.

Tę obronę uważa za dług winny polskiej matce, czuje się skrepowanym wprost przysięgą; nie odstąpi „do skonu żywota“ i wyżenie nieproszonych gości, którzy pieniędzmi nagradzają odstępstwo; on woli „w troskach zgryźliwych“ dokończyć żywota, a nie zostanie „zabójcą, Kainem“ dla swego narodu. Przytaczamy z umysłu zapatrywania Kochowskiego, bo przez jego usta mówi ogół szlachty, która tak samo czuła i myślała.

Zbierają się ci nieprzyjaciele wolności szlacheckiej i nicują Polskę za to, że nie chce przyjąć Kondeusza, że nie zna dóbr swoich, że „lepiej osłom rósć w polskim ogrodzie“. Nie wzrusza to wcale Kochowskiego, ani obietnica dobrego następcy, ani pomoc Francyi, bo ta „Gallia, kędy zabójstwa gęstsze, większe zbytki, gdzie Najwyższego imię prawie za nic“, wesprze nas jak Danaidy „i z pełnej niecnót beczki nam utoczy“.

Kochowski mimo swych czysto szlacheckich przekonań, nie jest jednak zaślepiiony i widzi w całym ustroju państwa polskiego wielkie wady i jaskrawo je maluje:

„Jakim rząd u nich prowadzi się kształtem,

I sprawiedliwość zbyt niesprawiedliwa:

Ten skarb publiczny kradnie, a ów gwałtem

Krzywdzi sieroty, a karan nie bywa.

Prawa ich jako owa pajęczyna!

Pan się przebije, uwięźnie chudzina“.

Święte, złote prawdy, ale tylko na papierze, a dowodem tego Lubomirski, który przez tę tkanę pajęczą przebijał się, ile razy mu się podobało.

Kochowski bardzo trafnie, lubo bezwiednie, rozjaśnia nam tę drogę matactw, którą chodził Lubomirski. „Liberum veto“ zerwie sejmy, wojsko liczne, ale niepłatne uczyni związek,

twierdza nie ma wysokich murów, a liczne bramy, więc osioł „juczny złotem“ łatwo wejdzie, reszty dokona nałóg pijaństwa; zahuczą sejmiki i Kondeusz przejdzie. A nie pomoże i to jeszcze, to trzeba „na nich groźnego poruszyć patyka“, rzucić na naród postrach obcej wojny. To wszystko tak było, ale nietylko dwór wyzyskiwał te słabe strony i jał się tych praktyk, lecz i Lubomirski nie zasypiał sprawy. To więc nie obrona marszałka, ale raczej oskarżenie, bo wykrycie jego krętych, lisich dróg, a więc bardzo niedźwiedzia przysługa.

Marszałek stoi na przeszkodzie planom dworu, więc przeciw niemu zwraca się zaciętość tego ostatniego i jawne oskarżenie. Kochowski ma go bronić, więc najpierw sławi jego przeszłe, głośne czyny:

„Ty, któryś szwedzkie Karolowe szyki
Gromiąc, rozdawał im nie bez krwi blizny.

Cny bohaterze, tuć sławy przybywa,
Sam na cię woźny mandat obwoływa“.

Obrońca króla „zelżywie obwiniony“ musi iść na wygnanie:

„Niewdzięczna matko! on się błąkać będzie
Wygnańcem cudze pocierając strony,
Ale niewinność jego głośna wszędzie
Opowie światu, że jest źle sądzony“.

To są jednak tylko suche słowa pochwały, odezwa bez echa, obrona nie przeprowadzona prawnie, nie poparta należytych dowodami, to jakby etykietalna kondolencya.

Na końcu poematu mamy już tylko opis i biadanie na krwawe skutki wygnania Lubomirskiego, które znamy dobrze.

Tyle wiemy od współczesnych o Lubomirskim. Pozostają opracowania późniejsze: dramat Szajnochy, Odyńca i Szujskiego.

Ponieważ już Kochowski swoją obroną wszczepił w nas rodzaj pewnego niedowierzania, czy Lubomirski zasługuje na zupełne potępienie, przystępujemy najpierw do dramatu Szajnochy, który z Lubomirskiego rokoszanina robi wielkiego bohatera, szanownego senatora.

Szajnocha nie był poetą dramatycznym w całym tego słowa znaczeniu, ale że głębokiego i doskonałego znawcę historii i sumiennego a przede wszystkim bystrego badacza źródeł musiała pociągnąć przy odtwarzaniu przeszłości urokiem swoim niejedna postać, więc przy poetycznym usposobieniu, przy darze plastycznego i barwnego przedstawiania wypadków i ludzi malował z pewnym wdziękiem, kreślił z życiem i prawdą te postacie, które przed innymi obok historycznej wartości przedstawiały szerokie i wdzięczne pole dla wyobraźni poety.

Po przeczytaniu całego dramatu mamy uczucie, jakoby historia wydała o Lubomirskim niesprawiedliwy wyrok. Czuł dobrze Szajnocha, że nie łatwo mu będzie usprawiedliwić krok Lubomirskiego, więc radzi sobie jako poeta doskonale.

Lubomirski, pogromca Szwedów, Lubomirski przyjmujący pierwszy króla tułacza na ziemi polskiej, Lubomirski, filar odwiecznych praw narodu nie będzie tak bardzo rażił z taką przeszłością, jeżeli wzniesi bunt, skłóci króla z narodem i w końcu zanieci pożar wojny domowej.

Nie zgadzamy się z tem stanowczo, bo przeszłość choćby najczystsza i najświetniejsza nie okupi przyszłych zbrodni. Takie zasady dobre dla poetycznej obrony, ale nie starczą dla sumienia, dla prawdy.

On taki wielki musiał mieć słuszne powody, że tak postępował. Gdy król ucieka, zostawiając osierocony kraj na pastwę wrogów; gdy ten wróg już w sercu tego kraju zwycięskie zatyka sztandary, „kiedy inni panowie i senatorowie to do Węgier, to do Śląska, to do Gdańska pochodzili wcześniej...” wtedy Lubomirski „usilnem swem staraniem z drugimi konfederacyę tyszowiecką ustanowił, króla z wygnania do Polski wprowadził... Szwedów wyrugował... pod Cudnowem z Moskwą, pod Słobodzyczami z Kozakami w potomne wieki sławną wiktoryę otrzymał i królowi Kazimierzowi zwycięski wieniec przyniósł”; on wierny syn opuszczonej i potopem nieszczęść zalanej ojczyzny kładzie się jak lew na drodze temu najeźdźnikowi, budzi do odporności przeciw temu wrogowi.

A więc najmniejsza krzywda wyrządzona temu „patri patriae“ w chwili, gdy chce przeszkodzić zamachowi dworu na „źrenicę oka“ swobód narodu, usprawiedliwia poniekąd przyszłość Lubomirskiego. Tak sądził Szajnocha, a pomógł sobie jeszcze tem, że projekt elekcyi Kondeusza zestawił z wojną szwedzką w nadziei, że zestawienie Lubomirskiego bohatera z Lubomirskim skazanym i wygnanym wyjdzie na jego korzyść.

Lubomirski Szajnochy jest bardzo poprawny, jest lepszy i usprawiedliwiony.

Pierwsze dwa akty dramatu bardzo pogodne, sielankowe, dopiero potem pokryją to jasne niebo chmury, raczej chmurki bez zapowiedzi gwałtownej burzy.

Stary wojewoda umiera w gronie swoich dzieci, wśród wspomnień o sławnej przeszłości; przepowiada jakby duchem proroczym przyszłe wypadki. Ma trzech synów, którzy mają się podzielić jego olbrzymią fortuną, ale razem ma on trzy skarby, raczej drogie pamiątki, których nie chce dla podziału rozrywać. A więc jeden z synów, zostawszy marszałkiem, ma dziedziczyć łaskę marszałkowską; drugi, przyszły starosta krakowski, zamieszka w kamienicy, w której ojciec ugaszcział króla; trzeci, przyszły hetman, niech bierze namiot turecki z pod Chocimia. Podział jak najlepszy, bo zarazem zachęta dla syrtów, by wiernie i dobrze służyć krajowi, dobijali się tych dostojenstw. Jerzy, bohater dramatu, zatruwa ojcu ostatnie chwile przypuszczeniem, że jeden z nich może zabrać te wszystkie dary, dostąpiwszy wszystkich trzech godności, a co wtedy?

„O niech was od tego Bóg strzeże! — mówi ojciec — Boć to nie łaska Boża w Rzeczypospolitej,

Gdy jeden z braci wszystkie zagarta zaszczyty“,
bo ten krzywdzi resztę braci, a zarazem ściąga na siebie „roje nieszczęść“.

„On, co wszystkie chciał z domu zagarnąć dostatki,
Sam zmuszony wyjść z domu, zbędzie rodu, matki,

I jak błędny wygnaniec, jako zły wyrzutek,
W obce, dalekie strony poniesie swój smutek
I zginie zapomniany...“

Proroctwo ojca spełni się i Lubomirski ściągnie na siebie zemstę nieba i „za karę krzywdy reszty braci

Przekleństwem obarczony, wszystko znów utraci
I od domu, ojczyzny, od braci daleki,
Zaginie...“

Wiemy z góry, co czeka jednego z trzech synów wojewody i bolejemy nad tem wraz z ojcem.

Akt I. cały wypełniony jest naradami M. Ludwika z posłem francuskim de Lumbres, który już wtajemniczony w zamiary dworu, przyrzeka chętną pomoc w imieniu Ludwika XIV. Królowa żywi jak najlepsze nadzieje, byle tylko pozyskać krnąbrną szlachtę, a pragnienia marzeniami rozkołysanego serca spełnią się. „Tak wszystko w skład idzie“, ale trzeba działać raźniej, tylko że ta robota od początku już nieczysta. To rozdawanie wakansów ludziom niezasłużonym, te łowy przy pomocy oczek pięknych Francuzek z „fracymeru“, te ciągle i tajemne znoszenia się z dworem francuskim podały M. Ludwikę w pospolitą nienawiść, w pogardę u narodu. Czytamy o tem w pieśni Kobziarza w scenie 6, akcie III., historycznie wiernej:

„Do trzech jędz w piekle czwartą przydała Francya,
Maryę Ludwikę. W Polsce się uwija,
Póty w ciężkim rosole szlachta jęzczyć będzie,
Póki jej z Polski nie zbędzie“.

My ze swojej strony żadną miarą nie możemy darować M. Ludwice tego, że użyła Tekli, córki Lubomirskiego, do uwikłania ojca w sieć swoich intryg. To jest wprost niegodziwość, robić sobie igraszkę z uczuć dziewczyny i miłości córki do ojca. Rozdmuchać w młodem sercu miłość, usuwać wszelkie przeszkody, a raczej nasuwać sprzyjające okoliczności, a potem rozkochanej pannie dać do wyboru albo szczęście na zawsze z ukochanym za cenę nakłonienia ojca do planów królowej,

których — mogła przewidzieć — ten ostatni nie będzie popierał, albo... — nie znamy tej drugiej alternatywy, ale łatwo się domyślamy — spłoszenie rojonych snów, marzeń, rozdarcie kochających serc. Takie postępowanie ubliża kobiecie, tem bardziej królowej.

Lubomirski pokrzyżował plany i wysłał córkę do ciotki. Królowa posyła Lubomirskiemu przez zaufanego Jesmunta nominację na starostę krakowskiego wraz z zaproszeniem na dwór królewski. Ten przyjmuje w zamku łańcuckim miłych gości, między którymi spotykamy się z nieszczęsnej pamięci Sicińskim. Z nim — zdaje nam się — nadciąga jak zaraza złe do tego cichego zamku, by zakłócić ten sielankowy spokój. Ale nie! Siciński na zapytanie, skąd przybywa, odpowiada dowcipnie, ale zarazem zjadliwie:

„Prościuteńko z piekła! skąd go „Lucyfer ze strachu, aby mu „wolnego nie pozwalam“ nie wnosił do carstwa podziemnego, kazał odwieźć do Polski, gdzie do niego wszyscy podobni, bo mają „po kęsie jego rogatej duszy w tułowie“. Mimoto jednak nie będzie on przy Lubomirskim odgrywał tak podłej roli podszuczawacza, jaką u Szujskiego gra Grzymułtowski, ale przeciwnie, on tu jest, zdaje się na to, by wszystkim bez wyjątku mówić w oczy prawdę, by być wcielonym wyrzutem ich sumienia, a czując gorycz własnej niegodziwości, otwierać im oczy, gdy zechcą zbrodnie popełniać. Kiedy w końcu zapoznajemy się z Zawadą, dworzaninem zdrajcy Radziejowskiego, zdaje się nam, żeśmy weszli do asylum, gdzie niegodziwców godnych szubienicy gości przyszły zdrajca.

Lubomirski przyjmuje starostwo i choć widzi w tym pierwszym darze fortuny „pierwszy dopust boży“, początek spełnienia wroźby ojcowskiej, nie odpycha go, bo się walki nie lęka: „w ogień, w próbę z kruszczem cnoty“. Przyjęcie Lubomirskiego u dworu jak najmiłsze, tylko dziwi nas ta bierność chorego króla, który jak maniak błąka się wzrokiem i duszą po królestwie gwiazd, by z niepewnych wroźb odgadnąć swoje i swego kraju losy, to nieliczenie się z nim królowej i postępowania

nie jak z człowiekiem chorym umysłowo, bo przecież wiemy, że J. Kazimierz malowanym królem nie był. Upadał nieraz na duchu, ale dawał też dowody niezwykłej energii i męstwa. A tu taki złamany, szuka w gwiazdach natchnienia na wybór następcy po sobie. Bardzo zręcznie udało się pocię zaznaczyć, kto nim będzie.

Żórawski przepowiada, że przyszedł król jeszcze dziś przed nim stanie. Nie Kondeusz, bo ten w Paryżu, a więc kto? Zjawia się przed J. Kazimierzem Michał Wiśniowiecki.

Królowa bardzo rada Lubomirskiemu, ofiaruje się zostać matką jego córki, przyjmuje z miłością Michała, wymawia bardzo delikatnie panu Staroście, że nie raczy pamiętać o dworze. Ten tłumaczy się śmiercią ojca, ale za to teraz wobec nowych nieszczęść, zalewających ojczyznę „położy głowę, ramię i fortunę w obronie korony“. Rozczuleni oboje, więc królowa kuje żelazo, póki gorące i odstawia mu swój projekt. Lubomirski uważa tę myśl za najkorzystniejszą dla kraju, a wybór za najlepszy,

„Lecz chcieć go kosztem wojny, to okup za drogi
Kto iskrę wojny sieje, zginie od pożogi.
Już ona tronu twego bliżej, o królowo,
Niż mniemasz. Radziejowski z armią Gustawową
Na granicy królestwa, z puszczeniem przed sobą
Hasłem buntu, wezwaniem do obrony swobód
Przeciw zamachom dworu może stać się snadno
Tą iskrą, tą pożogą, co nas wszystkich schłonie“.

Lubomirski nie łądzi się, kiedy mówi o nieprzyjacielu już w granicach Polski, bo oto przychodzą jeden za drugim posłańcy Hiobowych wieści, że Szwedzi w Wielkopolsce, że gromadzą się tłumy, grożąc królowej za wywołanie tej wojny. A ona gniewna zapisuje śmierć buntownikom. Dopiero Siciński zwraca jej uwagę, że tą drogą nie zajdzie daleko:

„Łaską oręż mściwemu wytrącić banicie!
O nie dziw się tej radzie! O! ty nie znasz, pańi,
Tych rubaszných serc polskich dziecięcej tklivości

Na głos matki ojezyny. Ozwij się doń słowem
 Miłości stron rodzimych, a tą samą bronią,
 Którą wrogom otworzył przystęp do ojezyny,
 Znowu ją z nich oczyści“.

W kraju nieporządek i rozprężenie, trzeba energicznego gospodarza, więc Lubomirski zostaje marszałkiem w miejsce starego Opalińskiego. Drugi uśmiech fortuny i zarazem przestroga, ale już i większa zatwardziałość serca u marszałka, który radzi królowi, aby uchodził przed Szwedami choćby nawet za granicę. A tymczasem nieprzyjaciele już pod murami Krakowa, szlachta przyjmuje ich z okrzykami radości, jeden tylko Siciński stanąwszy na czele szlachty sandomierskiej, domaga się elekeyi od króla szwedzkiego. Ten odmawia, dodając ironicznie, że armaty dzwonią na jego elekeyę, a szabla jego berłem.

Otworzyły się wtedy oczy narodu. Zawiedzeni w swych nadziejach, zawiązują konfederacyę w Tyszowcach, a armaty i dzwony z Jasnej Góry, głosząc pogrom wroga, natchnęły naród takim męstwem i zaciętością do tego najezdcy, że ledwie z duszą uszedł.

W kraju następuje względny spokój, więc M. Ludwika wraca do swoich planów. Już nie ma przeszkód, bo marszałek, „zbawca korony i ojciec ojezyny“, nie odmówi pomocy. Aby go sobie jednak zjednać zupełnie, mianuje go królowa hetmanem koronnym i przypomina mu zręcznie elekeyę Kondeusza.

Teraz przeraził się Lubomirski nie na żarty, bo czuł, że jeśli nie spełni woli królowej, narazi się na gniew i zemstę dworu i spełni się przepowiednia ojca. Przypomina sobie dopiero teraz rady ojca, by stronił od dworu:

„O, tak! Spełniona, ojczy, przepowiednia twoja!

Za wszystkie dary twoje, za nadmiar fortuny

Owłada mię niedola: albo zemsta dworu,

Albo hańba nikczemnej wraz z dworem frymarki

Swobodami ojezyny — niedola światowa,

Albo duszna...“

Jemu się zdaje, że wybór nietrudny, ale przeliczył się ze swemi siłami. Na prośbę królowej ma skłonić wojsko do planowanej elekcji, ale on nie może i nie chce tego uczynić, postanawia więc odrazu uniemożliwić te plany:

„Przebacz miłościwa!

Dopóki noga szwedzka na ojczyznej ziemi,
 Jedyna myśl hetmańska, wyprzeć wroga z kraju
 Dopóki najjaśniejszy pan nasz, dzięki niebu,
 Przy żywocie — jedyną każdego prawego
 Syna ojczyzny myślą, bronić jego tronu,
 A nie płochym zamachem tronu i kraj zawichrzac“.

Dobrze i rozsądnie mówi, ale M. Ludwika wszystkiego się spodziewała, tylko nie takiej odpowiedzi. Jakto? Niedawno taki chętny, teraz się opiera? Pan Bóg mię oświecił, odpowiada Lubomirski, i odsłonił mi pobudki i zatrute źródło tej chęci. Sprzeciwiać się, to droga niepewna i szalona — on wie o tem — ale mimoto nie zawaha się „pod rozpędzone koła tej czarowniczej chęci“ nawet życie swoje „cisnąć“, byle „rydwan i woźnicę ochronić przed upadkiem nieuniknionym“, tylko „nie chciej być tym woźnicą, najjaśniejsza pani, bo ojczyźnie rydwanem tym być — nie dozwolim.

Odrazu więc stanął dwór „nad otchłanią“, jedna królowa nie lęka się grozy tej przepaści i chce postawić stanowczy krok:

„O zdrajcy niewdzięczniku! o niesforna rzeszo!
 Sami ten łuk śmiertelny napinacie sobie
 Albo mnie. Nie zląkną się wypuścić zeń strzały
 I — widzę was u stóp mych z własną strzałą w pier-
 a więc odwagi królu! „Wytnij [si“;
 Tę część chorą, a cała choroba zniszczona.
 Zgubna dla nas niesforność całego narodu
 Zwarła dziś w Lubomirskim. — Śmiejący go obalić
 A wszyscy na kolanach...
 Nie staćże cię panie na odwagę, przytrzeć
 Łeb wężowi“?

Trzeba zapoznać śmiałka przed sąd. Wszak to on wyprowadził króla z kraju, by łatwiej berłem zawładnąć; on poburzył chłopów i szlachtę; on Michała uwikłał, bo przez opiekę nad sierotą po wielkim Jeremim, zyskuje wdzięczność narodu.

Marszałek zjeżdża na sejm, szlachta nosi go na rękach, a w tem woźny odczytuje mu głośno pozew, grożący utratą „czci, dostojęństw, majątku i życia i ścięciem głowy“. Szlachta protestuje w niebogłosość i chce zasieć woźnego. Nie koniec na tem. Dwór kazał zburzyć zamek Lubomirskiego w Łańcucie i oto córka w męskim przebraniu uchodzi do ojca, który nie ma również dachu nad głową.

Teraz dojrzał plan marszałka i krew bratnia musi się polać.

Pod Częstochową odnosi zwycięstwo nad wojskami królewskimi, ale sam czegoś chmurny, każe córce modlić się na Jasnej Górze i wybłagać mu odwagę do spełnienia wielkiego aktu — zwycięstwa nad sobą.

I przewyciężył się rzeczywiście, odepchnął od siebie bardzo silną pokusę podsuwaną mu przez Sicińskiego, aby ujął w swe ręce berło i ster państwa — i pozostał wiernym przysiędze złożonej królowi. Zwycięzca ma prawo zwyciężonemu podwójnie królowi, bo i na polu bitwy i złamanemu na duszy, dyktować dowolne warunki; jest przecież panem położenia, tysiące głów gniewają się przed nim, tysiące ust wymawia jego imię zbawcy. A on? On w pokornej postawie zwraca najpierw królowi jeńców w zamian za powrót zagrożonej ojczyźnie swobody, za akt, oznajmujący wszystkim ludziom po wszystkie czasy, iż nikt odtąd bezkarnie nie targnie się na kardynalne prawo narodu wolnej elekcji.

Po tych słowach króla, szła radości ogarnął zebranych. Lubomirski u kolan królewskich wyrzeka się wszelkich dostojęństw i woła: „Cześć tobie! cześć ojczyźnie w tobie“! Król wraca mu jednak „urzędy, dostojęstwa, majątek i tytuły“, a reszta pójdzie w zapomnienie.

Nie tu jeszcze koniec poprawy marszałka. Ukorzył się

przed królem, wyrzekł się ziemskich zaszczytów, pogodził się z ludźmi, — pozostał mu tylko rachunek z Bogiem. Boi się spełnienia proroctwa ojca, więc składa w ręce Paulinów jako votum dla Matki Bożej znaki swoich zwycięstw: buławę, laskę i klucz, „aby łaską bożą

Od dwojakiej niewoli, obcej i domowej,
 Ocaliwszy ojczyznę, samemu na przyszłość
 Mimowolnym ojczystych ustaw gwałcicielem,
 Wrogim z czasem ojczyźnie nie stać się ciemieczą,
 I tem właśnie nie ziścić tej wróżby nieszczęścia —
 Nieszczęścia najstroższego, bo sromoty dusznej“.

a „próżen już dostojenstw“ pójdzie do stóp św. Piotra po rozgrzeszenie.

Aby jednak i ojczyzny nie zostawić w smutku, wskazuje szlachcie Michała Wiśniowieckiego, jako przyszłego króla — Piasta.

Z epilogu dowiadujemy się, że Lubomirski umarł, a idąc za tendencją dramatu, musimy przyznać, że to bardzo piękne zakończenie wielkiego życia. Są na tem życiu plamy, ale za to podwójna zasługa ocalenia ojczyzny, mądrość polityki i gorliwość patryoty, a w końcu pokora i pobożność człowieka, mogły się złożyć na wcale piękny wieniec na głowę tak zasłużonego męża. Umarł, a tu przychodzą do niego posłowie, niosąc naprzemian radosne i smutne nowiny, ale on już nie czuł. Umarła jego przeciwniczka, M. Ludwika, a na jej grobie zakwita kwiat spokoju, który powinien sprawić hetmanowi radość, ale „hetman na marach“.

Smutniejsze są nowiny Biłowusa. Król po śmierci żony, pozbawiony jedynej podpory w życiu i w rządach, nie zdolny „w chorej ręce“ utrzymać „chwijącego berła“,

„Obnażył skroń z korony, złożył berło swoje,
 Rzucił wiosło sternicze w rozhukane zdroje,
 A nasza łódź ojczysta znowu się kołysze
 Bez steru i przewodzczy po burzliwej fali

O któż ją w tym zamęcie na nowo ocali!

O przybywaj hetmanie! a hetman na marach“.

Siciński przybywa z najlepszą wiadomością szczęścia i tryumfu:

„Bo owo Łódź ojczyzna już znowu wspaniale

Z nowym wodzem i sterem porze czasu fale!

Po długich wieków przerwie znowu Piast na tronie

Michał — królem obrany! a hetman na marach“.

Jeżeli mamy teraz wydać sąd o Lubomirskim, to nie możemy krępować się treścią dramatu, bo jego założenie i naciągnięcie historycznej prawdy, posłużyły poecie bardzo zrzęcznie do usprawiedliwienia bohatera. Pomijamy tę okoliczność, że opuszczona w dramacie bitwa pod Mątwanami, ugoda w Łęgonicach, usuwa ten ostatni, najgorszy czyn marszałka, a więc poeta nie może go piętnować jako otwartego zdrajcę; pomijamy zrzęczny bądź co bądź manerw, aby przedstawić Lubomirskiego, jako bohatera przez zestawienie jego rokoszu z napadem Szwedów; pomijamy to tryumfalne zakończenie dramatu elekcyjną upragnionego Piasta, to wobec tych wszystkich dowodów, nie możemy pominąć najważniejszego, który przyczynił się głównie do usprawiedliwienia Lubomirskiego.

Przez niego nie działa gniew i obraza, ale siła przeznaczenia. Słowa prorocze umierającego ojca muszą się spełnić, więc chcąc bohatera rozgrzeszyć z jego rzeczywistych win, trzeba go uczynić najpierw niby ofiarą zawiści i intryg dworu, trzeba mu w usta włożyć jakieś niezwykle, patetyczne słowa o moralności człowieka, o obowiązkach poddanego wobec króla, o miłości ojczyzny, a jeżeli on mimo tych szumnie wygłaszanых zasad postąpi źle i inni zechcą go potępić, to wtedy przypomni się im przepowiednie ojca i udowodni, że syn nie potrzebuje i nie powinien za nic odpowiadać. W takich warunkach mógł Lubomirski zyskać rozgrzeszenie i dobre imię, ale tylko w dramacie Szajnochy.

Widzimy, że Szajnocha rozgrzeszył Lubomirskiego ze



wszystkich win, a przez przedstawienie jego chlubnej śmierci, uczynił z niego niemal bohatera — męczennika.

Odyniec opiera się w swoim dramacie na Pamiętnikach Paska, Albrechta Radziwiłła, który zwie Lubomirskiego „pierwszym po Panu Bogu restauratorem wolności i tronu królewskiego“ i na słowach samego Szajnochy w przedmowie do dramatu: „Owóż to niewymownie piękne zakończenie wielkiego życia; ta podwójna zasługa ocalenia ojczyzny; ta wszechstronna wielkość zawodu publicznego, łącząca w sobie skończoną sławę mądrego polityka i gorliwego patrioty, uwieńczonego tyłą zwycięstw bohatera; słowem, wielkość **wielkiego człowieka**, podnosi naszego bohatera do moralnej wysokości Tarnowskich i Zamojskich“. Nie dziwią nas wobec tego słowa uwielbienia, nazwa „naszego bohatera“, długa bardzo obrona poświęcona Lubomirskiemu przez Odyńca w przedmowie do dramatu, i to może wszystko, bo treść samego dramatu nie przynosi żadnych nowych szczegółów.

Mamy tu bowiem bardzo blado nakreślony obraz tej wojny domowej i postaci głównego jej inicjatora. Lubomirski występuje na chwilę dopiero w akcie V., a zresztą wciąż tylko o nim słyszymy, że pragnie zgody z dworem do ostatniej chwili, że tylko zmuszony wypadkami, podniósł oręż nie jako zdrajca, lecz jako obrońca swobód szlacheckich, a w bitwie pod Częstochową nawet nie brał osobiście udziału.

Odyniec uwierzył Paskowi i pierwszemu sądowi Szajnochy o Lubomirskim, nie pojął tej postaci i nie zdał sobie sprawy z ważności tych czasów, dlatego jego dramat jest raczej rymowaną kroniką, ostrą satyrą na pokątne zmywy królowej z nieprzyjaciółmi Rpl., satyrą na niedołęstwo króla i przewrotność niektórych dostojników duchownych i świeckich, którzy mącili wodę, by zdobyć dla siebie godności.

Czemś niezwykłym w dramacie Odyńca, jest obrona Lubomirskiego włożona w usta Czarnieckiego, któremu poświęcony jest cały prolog, poprzedzający pięcio-aktowy dramat. Ten prolog, a raczej śmierć Czarnieckiego ma ten cel, aby za-

znaczyć, że ze śmiercią tego wielkiego bohatera, zaczęły spadać na Polskę różne nieszczęścia i wybuchła wojna domowa, którą tylko jego żelazna ręka i nieskazitelny charakter mogły powstrzymać.

Czarniecki biada nad przyszłością Polski, którą z tylu nieszczęść mógłby tylko wyratować Lubomirski, gdyby na jego zdaniu chciał polegać król tak, jak polega cały naród, ale niestety król słaby i pod władzą królowej: „Lecz ten wpływ kobiety!

Ten ślepy rajca! ten rozum francuski!

Ten małpi pochop do każdej obczyzny

To plaga nasza!“

Wprawdzie i on i Lubomirski i inni senatorowie, znając skutki bezkrólewia, zgodzili się pierwotnie na wybór następcy za życia króla i przyrzekli przygotować zwolna umysły szlachty, ale królowa prędką, żądna władzy, chcąc być „Ludwikiem, a nie Ludwiką i rządzić jak Ludwik“, popsuła wszystko przez pokątne zmowy, przez burzenie na Polskę Szwedów i Turków. Dobrze, że Lubomirski dowiedział się od cesarza o zamysłach królowej i rozgłosił je przed szlachtą, która zagroziła karą zdrajcy i banity temu, któryby wniósł na sejmie myśl o elekcji za życia króla. Stąd nienawiść królowej do marszałka i tu źródło wszystkiego złego.

Czarniecki nie przyjmuje ofiarowanej mu po zasądzeniu Lubomirskiego buławy polnej i chce udać się natychmiast do Warszawy w nadziei, że zażegna jeszcze burzę. Niestety, godziny jego życia były już policzone; zaledwie zdołał pożegnać się z najbliższymi i zalecić im, by stali wiernie przy królu.

Zwycięska i uradowana z zasądzenia Lubomirskiego królowa jest pewną wygranej, każe zniszczyć dobra marszałka pułkownikowi Brionowi, obiecując mu rękę Klary, sieroty po Kalinowskim, zaręczonej z synem Lubomirskiego, a Prazmowskiemu, kanclerzowi, który odgrywa w dramacie bardzo dwuznaczną rolę, przyrzeka arcybiskupstwo gnieźnieńskie.

Zasądzony Lubomirski udał się do Wrocławia, a w kraju

tymczasem wiążą się konfederacye i powstają zbrojne związki wojsk. Dwaj biskupi: Trzebicki i Czartoryski błagają króla, by niedopuscił do rozlewu bratniej krwi, a ten rozczulony zdaje się na sąd Boga, że pragnął zawsze tylko dobra ojczyzny, ale skoro jego najlepsze zamiary wydawały dotychczas zatrute owoce, skoro ściągnął na Polskę kary Boże, to dość ma sam tych cierni:

„Nie! nie! nie nie chcę prócz pokoju w grobie!
A za prac wszystkich i cierpień nagrodę,
Chciałem wam tylko zostawić po sobie
Na tronie — władzę, a w narodzie — zgodę“.

Stało się jednak inaczej. Pod wpływem królowej i Prażmowskiego nie przebaczył król Lubomirskiemu ani wojsku i przyszło do bitwy pod Częstochową, z której murów spoglądał na rozlew bratniej krwi ks. Kordecki, przypominając sobie, jak niedawno w tem samym miejscu upokorzony został wróg chrześcijaństwa i Polski.

Dramat kończy się porażką Litwinów.



III.

Szujski.

Na koniec, niejako na ostatni wyrok o Lubomirskim zostawiliśmy dramat Szujskiego, który, że użyjemy wyrażenia nie literackiego, trzyma się średniej proporcjonalnej: nie uniewinnia Lubomirskiego zupełnie, ale i nie potępia bezwzględnie. „Audiatur et altera pars“.

Szujski więcej historyk, niż poeta, pisarz pamiętający i myślący o obowiązkach raczej niż o uczuciach, nie mógł, może nie chciał, pisząc dramat historyczny, wykroczyć choćby na jotę od prawdy historyi. On jest cały przesiąknięty kwestyami historyczno-politycznymi; pisząc historię, badał ją, a badał rzetelnie i umiejętnie; nie kierował się upodobaniem, ale wydawał bezstronny sąd. Wolno nam tak długo tylko nie wierzyć w prawdę historyczną o Lubomirskim, dokąd jej nie zatwierdzi Szujski swoim dramatem. A że w dramacie jest to samo, co w historyi, więc rozprawa dalsza jakby zamknięta. Nie zgodzimy się może na wszystkie szczegóły, wynikające z konieczności sztuki i istoty dramatu, ale zdaje się nam, że dramat Szujskiego, to pieczęć i wiarogodny podpis na dokumentach o Lubomirskim.

Szujski „uchwycił zawsze w historyi najgłębiej ukrytą tragiczność spraw lub postaci, pokazał je w tem świetle ponurem, groźnem a uroczystem, jakie takim sprawom tragedyi przystoi“.*)

*) St. Tarnowski.

Dla własnego usprawiedliwienia musimy dodać, że rozbiegając dramat Szujskiego, powtórzmy nieraz zdanie już wyżej przytoczone, ale to rzecz dramatu, który jest historycznie bardzo wierny.

Szujski wierny swoim poglądom, że „trzeba się wyzuć z fałszywie zrozumianego uszanowania dla przeszłości“, nie przesadza w idealizowaniu tych dziejów, tych ludzi, wyrzec się jednostronnych sympatyj, by „nie zamalować tych postaci jedną, ulubioną opinią“, bo „dramatyk ma się zbliżyć do trumien i słuchać wyznania umarłych, aby im z duszy zdjąć ciężar, że synowie nie wiedzą o nich prawdy, że synowie patrzą na nich jak na świętych, a oni nie byli świętymi, że synowie nie wyciągnęli z ich trumny morału, który przywarł w chwili zgonu do ich czoła“,*) otóż Szujski tak pojmując przeszłość, tak malując postacie, zdierał z nich niejako maskę, brakował ich czyny, otwierał synom oczy na skalaną przeszłość ojców i kreślił postacie godne Szekspirowych, ale bez życia tych останich. Jego dramat to rzeźba prawdziwa i wierna, o której i za którą sam poeta przemawia.

Dwór, głównie Marya Ludwika powzięła zamiar przeprowadzenia elekcji syna Kondeusza na króla polskiego jeszcze za życia J. Kazimierza. Zdaje sobie sprawę z doniosłości zamiaru i trudności, jakie stawiać będzie szlachta, a głównie królewęta polscy.

Znany jej jest wpływ i znaczenie Lubomirskiego, który usuwa się od dworu. A więc król wzywa go do Warszawy, królowa daje mu do podpisania akt elekcji, mający być przedłożonym na sejmie. Marszałek podpisuje. To jednak nie przeszkadza mu siać niesnaski wśród wojska, w czem nie gorszy od dworu, który na własną rękę spiskuje przeciw hetmanowi. Na sejmie ogłasza król swój projekt, a marszałek, mając za sobą wojsko, bardzo dyplomatycznie, przyzwoicie doprowadza

*) J. Szujski.

do zerwania sejmu — i projekt upada. Komisya umyślna pracuje nad pogodzeniem wojska, ale napróżno, bo i samemu hetmanowi trudno uspokoić wzburzonych; spróbuje jednak pod warunkiem amnestyi dla wszystkich.

Związkowi przepraszają króla — już niby zgoda i spokój, ale obie strony: dwór i marszałek nie dowierzają sobie, intrygują nawzajem przeciw sobie, a kiedy wreszcie Lubomirski we Wiśniczu zмага się z burzą w duszy i z grzesznemi myślami — w Warszawie gotują mu niespodziankę, pozywają go przed sąd. Przebrała się miarka — w marszałku wezbrała żółć już po brzegi, ale pod wpływem snów i namów żony swojej Konstancyi, jedzie króla przepraszać i prosić, by uczczono jego siwiznę, jego przeszłe zasługi i nie walano jego imienia po sądach.

Król zawział się — a marszałek nie umiał dłużej nad sobą panować. Wygnany, przyjmuje we Wrocławiu poselstwo od szlachty i wojska i wkracza do Polski. Król zaczyna się chwiać, bo dzieją się dziwne znaki, a Marya Ludwika wprost ustępuje, ale już zapóźno. Pod Częstochową małe starcie i Lubomirski znowu przeprasz króla. Drugi sejm zerwany i projekt elekcyi rozchodzi się na niczem. Potem bitwa pod Mątawami, ugoda i przebaczenie.

To mniej więcej treść dramatu, inna, niż u Szajnochy, większa rozmiarami, głębsza i prawdziwsza w swej istocie.

Kiedy po raz pierwszy w I. akcie występuje Lubomirski, już jesteśmy uprzedzeni, że on mniej mile widziany u dworu, że pomijając obojga królestwo, ma w innych senatorach, doradcach głównie M. Ludwiki, nie tyle może otwartych nieprzyjaciół, ile ludzi powodujących się zazdrością, przemawiających dwuznacznie, z ironią, a nigdy otwarcie. Kanclerz koronny, biskup Prażmowski, od początku do końca dramatu odgrywa rolę niegodną powołania, wprost wstrętną, rolę jakiegoś podszczuwacza płaskiego, a przy tem złośliwego intryganta. Polowanie na stronników rozpoczęte — frymarchą starostwami i dostojenstwami świeckimi, a on, kanclerz, uważa to za rzecz całkiem naturalną, a co gorsza, według niego ci,

idący za brzękiem pełnego worka, rozumią jedynie wolę króla i dobro ojczyzny. Gdyby to była ironia, alluzya do tych przykrych, ale praktykowanych przez M. Ludwikę sposobów jednania stronników, to dobrze, ale tak nie jest, bo on chwali się swoją zręcznością tak gładkiego przeprowadzania spraw. Dla wszystkich ma książd biskup jakąś przynętę, tylko Lubomirski za „gruba zwierzyna“, chyba swaty, bo

„mąż, co gromił Szweda,

Da się nakłonić, lecz ugiąć się nie da“.

Marszałek wchodzi spokojny z jakąś aureolą powagi i nieprzebrzmiałej jeszcze sławy; gdy się odezwie, czuć w jego głosie męskość i energię, a słowa na pozór proste, niewyszukane, tną przecież jak miecz obosieczny i zmuszają do milczenia rozbawionego kanclerza. Zjawia się u dworu, bo go wzywają, a trzymał się dotąd zdala dla innych powodów. Przy dworze „kręcą“, on nie umie, więc „woli siedzieć doma“.

Odrazu weszliśmy niejako in medias res. Lubomirski sam przedstawił się nam bardzo korzystnie i będzie przez cały dramat pamiętał o raz wywołanem wrażeniu, by go nie zepsuć. Pokaże się jednak, że to pozory, ale dumny Lubomirski Szujskiego lepszy, bo prawdziwy.

Przestrzegają go teraz wszyscy, by nie sprzeciwił się królowi, jeżeli chce zachować mienie, dobre imię, a nawet życie, ale on taki prawy, rzetelny do szpiku kości Polak nie może pojąć, „że król jak ruski car lby będzie ścinał, jeśli wbrew jego samowolnej chęci prawa mu Polski będzie kto wspominał“.

To tyrania, ale on żywi niepłonną nadzieję,

„że jego głowa wprzódę posiwieje

I posiwiała do grobu się skłoni

Za wolnej jeszcze pradziadów Polonii“.

A więc Lubomirski gardzi ostrzeżeniem, drwi sobie z gróźb dworu i rywalów do pańskich faworów, którzy o tyle wierni, o ile płatni. Paszkwile mu nie zaszkodzą, a choć „nowi mędrkowie grzebią pod nim „dołki“, on za stary, by dla ich pociechy

wywracał koziołki, a gdy co grozi, niech grozi, gdy zechce — Wyzywam gromy, uginać się nie chcę“.

Ciekawą i bardzo ważną jest rozmowa marszałka z królową. To jedyny raz takie sam na sam tych dwóch postaci, koło których przewija się akcja dramatu, grupują się zdarzenia historyczne, dwóch natur równie energicznych, zapamiętałych, dążących do celu za każdą cenę: natury kobiety bardzo rozumnej i sprytnej, szczerzej i wierzącej w dobrą stronę i w powodzenie swojej sprawy i natury hipokryty, giętkiego dyplomaty, z ręką na sercu przepełnionem uczuciami patriotycznymi, z układną postawą i słodkimi słowami, a jadem w duszy.

Marya Ludwika wie, z kim i o czym ma mówić, więc tym razem chce przeciwnika pokonać, nie tyle wykazaniem mu ważności i korzyści zamierzonej sprawy, ile swoją otwartością i nieco kokieterią kobiety-królowej. Ten środek nie zawiódł, ale na pozór tylko, bo marszałek po wyjściu z komnaty królowej, otrząsnął się z chwilowego wrażenia i z pokornego, układowego dworaka stał się zaciętym wrogiem, zrzucił maskę komedyanta, na wszystkie bardzo delikatne zarzuty królowej, znajduje szumne słowa o ojczyźnie i czułe wyrazy wiernego poddanego,

„Nie zgaśnie cześć ma dla królewskiej mości,

Znam, umiem cenić pani mej zalety,

... widzą wielkie nieba,

Żem ja jednaki, że mój afekt stary

Ku tej ojczyźnie i królowi memu“.

Marya Ludwika poznaje jego nieszczerłość, lecz mając na uwadze cel rozmowy, głaszcze marszałka. Stawia swój zamiar na równi z miłością i szczęściem narodu, więc marszałek jako dobry Polak, jako świadek tylu klęsk narodu, znający skutki bezkrólewia, wstrząsającego podstawami państwa, czemu zaradzić może jedynie wybór następcy za życia króla, więc on „filar ojczyzny, dzielny zawsze w boju“ powinien ująć w swoje ręce sprawę dotyczącą dobra całego narodu i przeprowadzić ją.

Światło padające na oblicze marszałka zamiast go rozświecić, oślepiło i ten Katon polski, biorący co chwilę Boga na świadka, woła:

„Polska jest wiary, nie rozumu dziecię,
 Obcy mędrkowie pomódz nam nie mogą.
 Ojców zakonu skrzętnie dopilnować,
 To Polska będzie kwitnąć i panować“.

Jak rozumieć to dopilnowanie zakonu? O złotej wolności myśli marszałek, o liberum veto, ale to źle, bo to zakon bardzo zły, którego skutki na nas do dziś się mszczą. M. Ludwika rzuca teraz w twarz marszałkowi, a przez niego całemu narodowi gorzkie, ale święte prawdy:

„O! wy nie wiecie, gdzie serce tej ziemi,
 Wy dzielni w boju, siły niezłamanej,
 Cobyście mogli ramiony silnemi
 Trząść światem, zwalić te zbutwiałe ściany
 Europejskiego starego budynku,
 I stać się wielką potencją na wschodzie,
 Wy życie Polski widzicie w spoczynku,
 W nierządów waszych domowych swobodzie!
 Wy w prawach waszych samolubnych, ciasnych
 Widzicie serce Polski, a nie chcecie
 Widzieć, że one na kształt gromów jasných
 W skroń Polski biją, gdy burza na świecie!“

Naprawdę! chciałoby się nieledwie klęknąć przed tą królową i całować kraj jej szaty, bo tak było, jak ona mówi. Polska mogła zwalić w gruzy spróchniały budynek Europy, złączyć Rosyę z Polską pod jednym berłem i wytworzyć potęgę, jakiej nie było. Dlaczego tak się nie stało? „Bóg nie opuści Polski, co mu służy“ odpowiada Lubomirski. To prawda, ale czy Bóg za słuzenie sobie musi zaraz nagradzać, a jeżeli nagradza, to czy tak, jak ludziom jest korzystnie? Nie! najlepszy dowód, że Sam pozwolił na rozebranie tego przedmurza chrześcijaństwa. Ale my jak nie możemy na obcych, to opuszczamy się

na Boga, na religię, byle się nie trudzić, byle nie odpowiadać. Dlatego na wagę złota trzeba przyjąć dalsze słowa królowej:

„Nie! nie doświadczać nam już niebios dłużej

Panie marszałku! Polska się rozpręga

Sami widzicie — a tu dookoła

Moskwy podrasta i Turek potęga

W łonie nam żmija wylęła się podła,

Ten książę pruski. Kraj ratunku woła“.

Wołał kraj ratunku wtedy, gdy ta żmija miała mizerną postać, a cóż dzisiaj, gdy urosła w hydrę stugłową.

Wyczerpawszy wszystkie argumenta, podaje królowa Lubomirskiemu do podpisania akt elekcji, a ten bez zastrzeżeń prócz małej tylko uwagi, dlaczego na czele aktu nie ma imienia króla, a „nie trzeba nowych wprowadzać zwyczajów królowo Pani“ i pełen grzecznej wymówki, że królowa trudziła się, aby „sługę swego skłonić do aktu tego zbawiennego“, podpisuje. Zdziwieni pytamy, dlaczego podpisał? Jeżeli zrobił to szczerze i wierzył w powodzenie sprawy, to dobrze, ale jeżeli odegrał dwulicową politykę i chciał uspić czujność dworu, by tem łatwiej spiskować, — to sam wydał na siebie wyrok.

Ta nagła gotowość i ustępstwo marszałka, zdziwiły i zastrwożyły królowę i całkiem słusznie, dlatego też zaleciła Prażmowskiemu śledzić kroki marszałka.

Napada na niego także król:

„Przystał? podpisał, podpisał lis szczwany,

Rakuzki książę, Wiedniowi sprzedany...

Victoria, zwąchał widać pismo nosem

I w takt zaśpiewał, choć fałszywym głosem“.

„Zawczesny tryumf“, przerywa mu królowa, „gdy będzie po temu czas, pan marszałek inaczej zaśpiewa“. I dobrze przewidziała.

Lubomirski opuścił dwór bardzo zrażony, szczególnie sztywnem obejściem się z nim króla. Z przekąsem odzywa się do Zamojskiego o rządzie intrygantów i spódnic. Podpisał, niech mu dadzą spokój, niech sprawę sędzi Rpl.

Przypuściwszy, że aż do tej chwili postępował marszałek rzetelnie i sumiennie, to komu przypiszemy winę, że prywata zaszkodziła dobru publicznemu, porywczoci króla, czy złej woli Lubomirskiego? Raczej to drugie przeważyło, bo w nim już kielkowała ta zjadliwa roślina, z której dojrzałą truciznę podał ojczyźnie.

Na wzmiankę Świderskiego, przyszłego marszałka „Związku święconego“, że wojsko upomina się o żołd, że w obozie swary, odpowiada Lubomirski niejasno, zbywa go półsłówkami, że powinni mieć sami rozum, że wszystko rozstrzygnie sejm. Jaśniej wyklada to Świderskiemu zaufany hetmana, Grzymułtowski:

„Będę strzegł prawa“ to znaczy: że pała
Niechęcią ku tym, co go chcą wyrzucić,
I nie dozwoli wolności ukrócić.

Pragnie wierności waszej i baczności.

Toć oczywista, że chce mieć przy sobie
Szlachtę i wojsko w obronie wolności...

On mówił, ja komentarz robię“.

Prawdę słów Grzymułtowskiego potwierdzają słowa marszałka:

„Jakby na dzika rozpuścili psiarnię,
Lecz skorom dzikiem, dzik psy kłem rozgarnie.
Mój podpis stoi i milczeć mi każe,
Więc muszę milczeć. Sejm resztę pokaże.
Sejm niech rozstrzygnie, czy służyć tej sprawie,
Albo niech ciężar słowa ze mnie zdejmie“.

Kiedy Lubomirski podpisał akt elekcji, działał jako biegły polityk. On sam w opozycji byłby pewnie niczego nie dopiął, naraził się tylko dworowi, zraził do siebie wojsko i szlachtę. On wiedział dobrze, że sejm nie tak łatwo się przechyli do projektowanej przez dwór elekcji i postanowił dokonać wielkiej rzeczy. Dwór godzi rzekomo na złotą wolność, na „żrenicę oka“. W sejmie zacnie wrzeć, zdania się rozstrzelą, potrzeba, aby ktoś zjął je w jedno ognisko, stanął na czele i korzystając z chwilowego nieporozumienia, postawił sprawę na ostrzu

miecza, pociągnął za sobą ogół — i zwycięstwo zapewnione. Lubomirskiemu samemu po stronie opozycji byłoby za ciasno, więc ogłasza się obrońcą zagrożonych swobód i praw narodu, wskutek czego dwór z małą garstką stronników stanął w opozycji do sejmu, do całego narodu.

Król przemawia na sejmie bardzo pięknie, przedstawia swój plan w słowach pełnych powagi i namaszczenia, jak przystało takiemu mowcy i ważności takiej sprawy. W tem, co mówi o wypadkach po swojej śmierci, jest naprawdę wzniosły, proroczy i w swem proroctwie niestety nieomylny:

„Bóg mi potomstwa odmówił radości,
Ostatni z Wazów pójdę w kraj wieczności.
W godzinę śmierci niepokojem gnany,
Bo kraj mój drogi, pierwszą miłość moją
W objęcia porwą strasznych burz bałwany,
A ściany państwa, co się za mnie chwiały
Sieroce — burzy srogiej nie dostoją“.

Aby tego wszystkiego uniknąć, aby raczej orzeł polski nowym wzbil się lotem, aby ustały wewnętrzne zatargi, a osłabieni sąsiedzi nie podnosili głowy: „Wybierzcie króla, dopóki król żyje“.

Po mowie króla powstaje Lubomirski. Wszyscy z zapa-
rtem tchem oczekują jego przemówienia. Słowa króla — mówi —
są nazbyt potężne i trafne, aby człek „choć z stali nie zadrzał
jak listek“?

„Któż? Któryż Polak nie kocha swej ziemi?
Któżby nie przyjął, co niesie zbawienie?...
Lecz każda rada musi jako ziarno
W głębiach narodu zapuścić korzenie.
Tam soki życia wkoło ją ogarną,
Stamtąd wybuja na drzewo cieniste,
Które strzedz będzie ojczystej gromady
A w czyny wielkie, w czyny uroczyste
Przejdzie szczęśliwie treść królewskiej rady“.

Rzadko który dyplomata przemawiał tak zręcznie, a zarazem tak przyzwoicie. Co podziwiać więcej w tej mowie, czy przebiegłość, czy szyderstwo? To ostatnie! Lubomirski unoszący się najpierw nad słowami króla, jest przebiegły, ale kiedy zaczyna mówić o ziarnie, które ma dopiero w narodzie zapuszczać korzenie i długo, długo rósć, by w końcu wydać pożądane, ale i niewczesne owoce, wtedy wprost pastwi się nad królem i szydzi z niewczesnych planów zwłaszcza, że jest przekonany, iż do tego nigdy nie dojdzie, bo on to ziarno wyrwie z ziemi i nie da mu zapuścić korzeni — i ta jego ironiczna pewność siebie jest szatańska. Marszałek skończył, w sejmie jakby na dany znak zawrzało, a ponad wszystkie głosy, najgroźniej odbiło się o ściany sali sejmowej — „veto“!

Zgnębiony król powołuje niebo na świadectwo swoich czystych zamiarów; jedna królowa nie uległa się burzy i postanawia „drogę do celu żelaznym wyrębać toporem“, a król woła:

„Trzeba zgnieść marszałka!

I ja go zgniotę, klnę się wam na piekła,
Zgniotę jak źmiję, która się zawlekła
W zanadrze Polski, by ją kasać zdraźnie.
Dziś zapadł wyrok: Marszałek upadnie“.

Sejm jednak rozszedł się na niczem; zgoda ze zbuntowanym wojskiem idzie uporem, więc wyznaczony na komisarza do zgody biskup biada:

„Biedny narodzie! Serceć Bóg wychował,
Lecz głowę szatan nocą ci tłumani,
I serce samo rozeznać nie może,
Kiedy ci Pan Bóg, kiedy czart hetmani!“

Wojsko wybiera swoim protektorem Lubomirskiego i staje się groźnem. Wtedy biskup Prażmowski udziela królowej dziwnej rady:

Jeżeli, mówi, te niesforne kupy chcą
„Najeżdżać, gwałcić króla świętą władzę,
Więc jak z wrogami postąpić ja radzę.

Więc ich z kościelnej radzę powszechności
 Wykląć, odmówić mszy, księdza, pogrzebu,
 A gdy się wtenczas nie ukorzą niebu,
 To niech Tatarzy... niech ich bicz turecki
 Nauczy słuchać króla i kapłana“!

Rada to straszna, sam Lubomirski się oburza:

„Ha! rada chrześcijana,
 Biskupa, księdza! Niech ta straszna rada
 Na twoją pamięć wieczną plamą pada“.

To prawda, ale on nie ma prawa tego mówić, bo nie Tatarów wprowadził, ale za to Niemców sprowadził na swoich i krew bratnią przelewał.

Bez względu jednak na to, wcaleby nas nie zdziwiło, gdyby marszałek, jak groził, rzucił tę arcydoskonałą myśl między szlachtę.

Nieustraszona jednak królowa druzgoce go swojemi słowami:

„Ha! groźbę twoją, marszałku, rozumię,
 I w twarz ci staję tu, jako królowa.
 Jeśli myśl buntu serce twoje chowa,
 To masz nas w rękach — dogódź twojej dumie,
 To powiedz temu dzikiemu tłumowi,
 Żeśmy go na rzeź dali Tatarowi.
 To splam infamią czyste imię twoje;
 Obal tron króla, królowej... ja stoję
 Buntów żołdactwa otoczona gwarem,
 A wtedy jawnie wypowiesz przed światem,
 Kto tutaj Polską, — a kto jest Tatarem“.

Lubomirski odpowiedział królowej bardzo stanowczo, nazwał jej intrygi obcemi sztukami, ale w końcu uzyskawszy od niej amnestyę dla wszystkich z wyjątkiem siebie, uspokoił wojsko i pogodził je z królem.

Król wybiera się na wyprawę moskiewską, ale nie bierze ze sobą Lubomirskiego. Ten odepchnięty wraca do Wiśnicza i tu dzieli się z rodziną swoim zmartwieniem. Jest jednak

jakiś skruszony, karci buntowników, ale my wiemy, że to pozór, że chce uchodzić do końca za porządnego człowieka.

Szujski poznał jego przewrotność, odgadł jego dwuznaczną naturę, dlatego jego bohater źle myśli, ale pięknie mówi, dlatego jest przy nim taki Grzymułtowski, który za marszałka głośno myśli, a szlachta podżegana działa. Czyn zresztą — mówi Sienkiewicz — jest aż do materyi zgęszczoną myślą, więc jakie były myśli Lubomirskiego, takimi okazały się czyny. Ostatecznie Szujski nie obrał go tak jak historia ze wszystkich dobrych stron, ale starał się jeżeli już nie zrównoważyć, to przynajmniej zmniejszyć nieco winę marszałka.

Nieszczęśliwy pozew Lubomirskiego przed kratki sądowe jest punktem ciężkości, jest główną przyczyną późniejszych następstw. Rękawicę rzuconą przez tron, Lubomirski podjął, tylko sam nie wiedział, co wypadnie. Teraz nie może już cofnąć się, ale jak wezbrana rzeka będzie rwać i niszczyć wszystko po drodze aż do stóp tronu króla, który upokorzony, pobity, musi się z nim pogodzić. Pyszny jest ten monolog:

„Budowa się łamie,

W bój bratobójczy tron z narodem goni

Na głowę sług swych grot rzucając z dłoni...

A czemuż tron stał, jeśli nie miłością,

Wielkością królów i miłością braci“?

Zapała pozew i jako pochodnię zniszczenia rzuca przed siebie dla — zemsty. Wspaniały jest, gdy się porównuje z Cezarem, który „ponad Rubikonem, maleńką rzeczką, stał długo... z czołem pochylonem... bo tam od rzeki cienie przodków białe tajemniczemi kalwakaty wiały... więc myślał długo i nie rzucał strzały“, ale on rzuci strzałę: „Będę się bronił — napastnikom biada“!

Mimoto jednak widzimy go u stóp króla, gdy zebrze łaski nad Polską, nad sobą i królem, gdy wspomina przeszłość:

„Boleść mam w sercu i łzy mam na twarzy

I wspomnę sobie, żem ja syn hetmański,

Hetmana..., który drży w grobu marmurach,

Że mu tak syna jego poterano.
 Jeśli tak przeszłość szanowaną będzie,
 Kto dla przyszłości pracować się waży?
 Któż pierwszy przyjął dłońmi otwartemi
 Tego, co teraz grom na skroń mi ciska,
 Któregom niegdyś, monarchę bez ziemi,
 U domowego ugaszczwał ogniska“.

Król nie zmięczył się, przeciwnie nazwał go zdrajcą.
 Marszałek broni się, błaga, nawet grozi, a gdy król nie chce
 z nim dalej mówić, wybucha gwałtowną, ale i ostatnią prośbą:

„Niech się me imię po sądach nie szarga,
 Niech moja głowa siwa, niesplamiona
 Czysta — na ojców powróci ramiona.
 Daj mi spokojnie dożyć dni ostatka“.

Król posądza go o kłamaną pokorę, on musi doznać na
 sobie skutków swego oporu. Wtedy Lubomirski zrzuca maskę
 i pokazuje nie kim jest, ale jakim w danym razie może zostać:
 „bo gdy pękną wodze,

Gdy to wybuchnie... co się w piersi żarzy,

Bo gdy mię rozpacz i boleść przemoże...“

nie kończy, ale nam znany jest epilog.

Scena ta jest najwspanialsza, najefektowniejsza i prawdzi-
 wie tragiczna nie sama w sobie ile w swoich skutkach. Nie
 o wartość literacką jednak tych scen nam chodzi, ile o sprawę
 samą. Z trudnością zdajemy sobie sprawę z tej stanowczości,
 raczej niewczesnego, bo do najwyższego stopnia szkodliwego
 oporu króla. Butny magnat korzy się przed nim, nieprzyjaciel
 przeprasza, żebrze o łaskę i dobiera słów bardzo pokornych,
 broni się bardzo słusznie, wspomina rzeczywiste i niepoślednie
 zasługi, więc czemu nie okazać mu łaski, czemu z taką bez-
 względnnością pchać go do złego? Potem się cofać i poznać,
 że zaszło się zadaleko, będzie zapóźno i nie ładnie i nie sło-
 wnie. A teraz można było wyzyskać położenie, otworzyć oczy
 Lubomirskiemu, który się nieco zapamiętał, i najpierw nie do-
 puścić do rozlewu krwi bratniej, a nawet przeprowadzić swoje

plany. Czuje się więc wielki żal do króla, że sam sprawę zepsuł, większy do M. Ludwika, że zbudowawszy z takim mozołem swoje dzieło, nie hamowała zapędów króla i nie studziła tej gorączki, ale ją podniecała. Tracimy zaufanie do planów królowej i podejrzujemy ją więcej o prywatę.

Dla Lubomirskiego nie mamy na razie słów oskarżenia, bo on naprawdę sponiewierany; szkoda, że epilog taki smutny. Szukamy jedynie źródła jego skruchy. Oto Konstancya, jego żona, ma dziwny i znaczący sen. Śni się jej, że przybiega na dwór do Wiśnicza posłaniec, a za nim z jasnego nieba pada grom i zapala zamek. Chmury dymu, w których straciła z oczu męża i dzieci, otoczyły ją i naraz ujrzała się

„Niby w ogromnym, płonącym kościele,
 Aż w pośród ogniów ujrzę trumien wiele
 Czarnych, otwartych, strojonych w oznaki
 Dostojeństw, z ognia płynęły falami...
 Potem widziałam dwie królewskie trumny
 Dziś nam łaskawie panującej pary,
 Za niemi innych tłum, bez końca, miary
 Leciały między płomienne kolumny...
 Aż z czerni dymów powstała trumnica
 Czarna, olbrzymia — paszcz straszną otwarła
 I wszystkie małe trumienki pożarła“.

Sen nie trudny do wyjaśnienia. Posłaniec — to woźny z pozwem, którego treść jak piorun zapaliła duszę marszałka i wznieciła pożary wojny, nie żywiącej ni miast, ni wsi, ni ludzi.

Walka bratobójcza wiele zakrwawiła i żalobą okryła serc — nawznosiła mogił. A hetman był chmurny, bo musiał patrzeć na owoce swojej dumy i zemsty. Potem umarła M. Ludwika, J. Kazimierz abdykował. Co jednak oznacza ta wielka trumna, która pochłoneła inne małe? Kogo w niej złożono i dlaczego ten pociągnął za sobą innych do grobu? To wielka mogiła Rpl., którą kopały dwa ostatnie wieki. Z zawarciem się tej trumny i złożeniem jej do wielkiego grobu, zamknął się polityczny byt Polski niepodległej.

Każdy człowiek, choćby miał w sobie bardzo wiele złych stron, choćby idąc za tym niegodziwym popędem, nabroił wiele złego, to jednak znajdzie się czasem w chwili psychologicznych refleksyi, kiedy obudzone, a może tylko podrażnione sumienie odezwie się wyrzutem, a z całego tego chaosu złych myśli i niegodziwych czynów wyrwie się jeden wielki głos, nawołujący do upamiętania.

Nietylko jednostka, ale cały naród dochodzi czasem do chwili koniecznego rachunku sumienia, kiedy się czuje wielki niesmak do przebytej przeszłości, rodzaj odpływu siły, energii woli i wtedy bardzo się pragnie zatrzeć pamięć wszystkiego i otrząść się z gorących wyrzutów i zaznać choć trochę spokoju ducha. Ciało nawet przy potężnym duchu znuży się, ale je duch dźwiga, kiedy przyjdzie ta niemoc duchowa, wtedy następuje rodzaj przełomu życiowego, czy brnąć dalej w bezprawia, a recydywa zawsze stokroć gorsza, bo sobie chory mówi „wszystko jedno“, czy stać się innym lepszym. Z takim chwilowem zmaganiem się pierwiastków dobrych ze złymi, z takim duchowem osłabieniem i chęcią obrania innej drogi, spotykamy się u Lubomirskiego we Wrocławiu. Szereg upokorzeń, słuszne, czy nie słuszne krzywdy; żal do całego narodu, że pozwolił go zasądzić, wygnanie wreszcie i utrata czci, mogły jeśli nie całkiem zwalić, to ugiąć przynajmniej tę wyniosłą postać niedawno butnego marszałka, który teraz z całą pokorą, bodaj i ze szczerością godzi się ze swoim położeniem i uważa je za prawne, więc sprawiedliwe. Nie porwie się na naród, złoży „laskę i buławę polną“, przyjmie dekret, pójdzie na tułactwo, byle potwierdzono prawo wolnej elekcyi. Czy mu jednak tylko o to chodziło, gdy wicherzył? czy to nie obłuda, własne oszukiwanie się? Ale, dajmy na to, że te przypuszczenia fałszywe, to on żąda rzeczy słusznych. Dotąd nie popełnił jeszcze złego, więc nikt nie ma prawa pokucie przeszkadzać. W tej duszy, czującej wyczerpanie sił, toczy się dalej zacięta walka. „Dwaj ciągle po niej majaczą duchowie. Jeden upornie woła mnie: Wejdz w siebie!“ Drugi unieważnia ten rachunek

ze sumieniem i dowodzi mu, że dwór winien, bo naród musi się trzymać „swych praw podwaliny“, bo swoją wielkość zawdzięcza prawom i wolności...! Zapewnie, ale ten wykształcony i niepospolicie rozumny człowiek powinien sobie powiedzieć, że to prawa już zbutwiały, choć tak nowe, że najszkodliwsze w świecie i prędzej czy później sprowadzą upadek narodu. On tej uwagi nie robi, bo coraz bardziej traci odporność przed złem; zapewnia nas wprawdzie, że szlachtę uspokoi, wywalczy zgodę z tronem i pójdzie na wygnanie, ale mu nie wierzymy, bo tego nie dotrzyma, bo podszepty złych przyjaciół rozstrzygną te zapasy w jego duszy.

Grzymułtowski nie da mu spocząć, ale pcha go do czynu; posłowie wojska i szlachty czekają „ordynansu“ hetmana i wołają, by ratował Rpl. Chyba bardzo trudno było nie uleść tak silnej pokusie, zwłaszcza, że już nie wichrzyciel i rokoszanin stanie na czele zbuntowanych, ale prawdziwy pater patriae pospieszy na obronę wolności swobód narodu, jako mściciel krzywd braci. Naród woła! Narodowi nie wolno się sprzeciwić! Jeżeli Lubomirski tak usprawiedliwiał swój krok, to tylko sam siebie chciał oszukać i zagłuszyć wyrzuty sumienia. Co to za naród? Może ci wichrzyciele zaślepieni w swoich swobodach i przywilejach, może ta masa pochopna do wrzasków, zrywająca bez skrpułów sejmy, czy może ta zgraja o dymiących głowach przedstawia naród? Nie wojsko też narodem, bo ono tego broni, co lepiej płaci.

Lubomirski znał zbyt dobrze narzędzia swych czynów i dlatego nie zakrzuszył się tem kadzidłem. Zzachnie się najpierw chytrze, potem wypowie kilka morałów o obowiązkach obywatela, a w końcu dowiedziawszy się, że mu zrabowano dom w Łańcucie, a żonę i dzieci skazano na tułactwo, budzi się w nim dawny wichrzyciel: „dosyć przecierpiałem

W świętości domu Polski jest fundament.

Kto ją zbezcześcił, zbezcześcił sakrament!

Pójdziem do Polski“!

I poszedł nie budować, lecz burzyć, nie z pokojem, lecz z pożąką wojny. Stało się.

Na wieść o klęsce pod Częstochową, żali się i kaja król:

„Koronę z ciernia dano mi na głowę

Gdym został królem...

Jam król nieszczęścia...

Psy niezadługo będą na mnie szczekać

I z Polski przyjdzie na starość uciekać.

Wstecz się nie cofną tego ludu dzieje

Ja nie ocale — chyba Bóg ocali...“

Przygniatające tem więcej prorocstwo, że się sprawdziło.

Po licznych układach przychodzi do zgody; Lubomirski staje znowu przed królem, by położyć kres „strasznego boju“. Ale król poznał fałszywy żal marszałka, każe mu ukorzyć się przed sobą i wydaje wyrok infamii. Lubomirski jednak prosi bardzo namiętnie i rozpaczliwie, by król zechciał „odwrócić kartę dziejów, co tylko potępienia warte“, to zawita spokój. — Król nie chce, lecz oddaje sprawę marszałka do sejmu. Ten się zgodził, bo wiedział, że mu się nic nie stanie.

Wielkie sprawy, kiedy się ważą, kiedy od ich wyniku zależą nieraz losy milionów, rozstrzygają nieraz ludzie mało znaczący. Król oddał sprawę do sejmu pod sąd całej Rpl., a marszałek nie zawahał się zasiąść na ławie oskarżonych, byle tylko się oczyścić. Jedynie królowa, niewystudziła w sercu gniewnych zapałów do marszałka i to serce kobiety, które pierwsze powinno się było otworzyć dla zgody i okazać łaskę, zatwardziało popycha ją do czynu niegodnego kobiety a tembardziej królowej.

Sejm mógł ująć się za Lubomirskim, — a więc trzeba go zerwać:

„Raz jeszcze trzeba postawić na szale

Wszystko! Wygrywa ten, co gra zuchwale.

Kobietę stać na lek, lek dzielny!“

Obmyśliła rzeczywiście coś arcyniegodziwego. Przekupiony Grzymułtowski „losy Polski trzyma! Idzie za mojej intrygi

podmuchem“, a nad całością tej sieci intryg czuwa i myśli ona, której na zawadzie stoi już tylko jeden — Lubomirski, którego chce zdeptać, na którego ruinie chce zbudować gmach nowej Polski. Jakto? więc sama królowa nie chce zażegnać klęski wojny domowej, lecz do jej wzniesienia czynną i nieczystą przykłada rękę? Tak jest! Ona, Marya „Gonzaga, w której krew zachodnia płynie,

Co się uczyła w Ryszelięgo szkole,
 Nie zadrży. Wszakże i ona przed laty
 Była ofiarą w polityki kole,
 Koło to głowę jej kochanka ścięło,
 Serce dziewczęcia podarło na szmaty.
 Głowa upadła — raz serce jęknęło —
 I śladu w dziejach potem nie zostało“.*)

Tak! ale to nie racya, aby zestawić dwa serca złamane z klęską całego narodu i mścić się. Energia i zimna krew złamanej kochanki sprawia podziw, ale tu na złe obrócona staje się brutalnym gwałtem. Był czas, że można było sposobem godziwym i korzystnym zakończyć sprawę i nie posuwać się do takich środków. I drugi raz nasuwa się podejrzenie, że u królowej przeważała prywata, kiedy nie wahała się powierzyć swoje dobre imię, miłość męża i króla i przywiązanie narodu w ręce takiego Grzymułtowskiego.

Już sama myśl przekupstwa tego człowieka brucze ręce królowej, a kiedy na domiar złego chce się usprawiedliwić przed królem i z całym spokojem wyrzeka się intryg z Grzymułtowskim, a nawet całą winę zwała znów na marszałka i jego sługi, wtedy milkniemy ze zdumienia i pytamy, czy to może być prawdą? Wina jest stanowczo po stronie królowej, a że Grzymułtowski zerwawszy sejm, wrócił do Lubomirskiego, to jemu już więcej nie zaszkodzi na sławie... on już osądzony. Jemu tylko chodzi o obłowienie się:

*) Mowa o sprzysiężeniu przeciw Richelieu, na czele którego stanął Cinq-Mars, wielki koniuszy Henryk d'Effiat.

„Padnie marszałek — król stypę oplaci,
 Padnie król — walor swój marszałek straci;
 Póki jednemu, lub drugiemu życia,
 Zawsze zysk czysty będzie do zdobycia“.

Niesłychanie moralne i zdrową zasady ma ten przedziwny zdrajca i kusiciel. Teraz już naturalnem następstwem tak zaostrzonych stosunków, jest smutny epilog — bitwa pod Mątwami.

Lubomirski zaszedł już tak daleko, że nie ma innego rozwiązania, jak z bronią w ręku upomnieć się o swoje krzywdy; tylko dla zgłuszenia sumienia własnego mówi, że idzie na wojnę, nie z królem, ale z Francuzami. Niestety, to nie z Francuzami wojna, ale brat z bratem, syn z ojcem morderczem rozpierają się żelazem. Król się uratował, a wśród przekleństw na korolicę, jak z pogardą nazywano Maryę Ludwikę, umierają ranni, umiera Świderski, który w ostatniej chwili przyznaje się Lubomirskiemu, że stał po stronie króla. Wtedy budzi się w sposób tragiczny sumienie marszałka, który sobie czyni zgryźliwe wyrzuty. Do ostatniej chwili odsuwa od siebie krwawe widmo wojny, które go prześladowuje i krwawe znacząc ślady, wskazuje mu palcem ofiary jego zemsty: „O! pioruny bijcie...

Niech świat gromami w pył się rozkołace
 W dniu tym, w dniu sądnym krwawo mi błysnęła
 Prawda przed oczy. Dokonałem dzieła,
 A dzieło moje skarży się przed Panem
 A białe duchy lecą tumanem
 Wskazując wielki grób — gdzie pchnął tysiące...
 Na straszną siejbę.
 Ha! siwe włosy, strojne w wawrzyn chwały
 Idźcie w to błoto krwi!...“

Upamiętał się, choć zapóźno! Kusiciel daje mu do zrozumienia, że stanąwszy na szczycie chwały, powinien jako zwycięzca, pokonanym twarde dyktować warunki, a „jeśli myśl zasięgnie wyżej

Ja między szlachty zanurkuje fale...

Królem będziecie! Purpura czerwona

Krew tę zakryje, złocista korona

Uciszy piersi...

Was mól ten gryzie — wy się rokoszaniem

Boicie stanąć tam, przed niebios Panem,

Więc stańcie królem, przeszłość w jednej ręce,

W drugiej złocista przyszłość panowania...

Pan wam odpuści..."

Co za szatańskie rady i w jak godziwej szacie, ale Lubomirski odrzuca je ze wstrętem, mówiąc, że nie knuł takiej zdrady, że Boga czci, choć stanął z Nim do boju i Bogu służy „popadły szatanom“, zresztą

„Siejbą mądrości grzechy me i winy

Moją jest kara, kiedy moje czyny.

... Otchłań piekła ciemna

Mówi przez ciebie. Pokuta daremna“.

Powalony i zdruzgotany na proch, błotem szpeci swą siwiznę, ale ma jeszcze nadzieję naprawienia złego... on ma synów, którzy okupią winy ojca, oczyszczą jego pamięć. Jego duma wykopała tyle mogił, rozlała tyle krwi, popchnęła ojczyznę bardziej do upadku, więc trzeba tej dumie przeciwstawić tem głębszą pokorę, im wyższą była pycha. Przeklina ich zamiast błogosławić, chcąc tem przekleństwem zagrozić im drogę do złego:

„Choćby się cała pierś w górę wzburzyła,

Gdyby dłoń wasza kiedy się wznosiła

Z mieczem za sprawę, za którą się wzniosła

Dzisiaj ojcowska dłoń: Niechaj jej siła

Uśnie wam w szpiku kości...

Przyjdzie straszliwy czas, wzrok mam proroczy

I coraz gorzej będzie w tej ojczyźnie!

Ale wy stójcie, chociaż was przyciśnie

Wszelki ucisku srom, stójcie skałami,

Nie wzniesie domu to, co Polskę plami“!

Co za potężne słowa upomnienia ojcowskiego, ale tylko słowa, bo ten ojciec nieszczęśliwy po takiej przestrodze, da tym dzieciom jak najgorszy przykład, — podniesie broń na króla.

Kiedy po bitwie idzie do króla, to już cień tylko dawnego marszałka. Nie boi się sądu ludzkiego, ale drży na myśl o tem, że sąd na niego w niebie został potwierdzony.

Składa bułat splamiony krwią braci u stóp tronu i czyni publiczną spowiedź. Zakończenie jak u Szajnochy dobre. Tylko tam od początku do końca było crescendo w dobrych uczynkach, w expiacji za grzeszną przeszłość — a w końcu tragiczna, ale zarazem wspaniała śmierć; tu najpierw to złe rozrasta się bardzo bujnie, jego skutki bardziej widoczne, bohater tragiczniejszy, lepiej i głębiej pojęty, psychologicznie prawdziwiej przeprowadzony, a dopiero zakończenie łagodzi nieco wrażenie.

A królowa? Ta przyznaje na końcu, że jej dusza była „zbrukana namiętnościami, dumą i zawiścią“, że do szlachetnego celu używała złych środków, że prywatą, a głównie duma obrażonej kobiety i królowej, grała niepoślednią rolę i oddała całej sprawie najgorszą przysługę.

Tak przedstawił Lubomirskiego Szujski; pozostaje jeszcze jeden wniosek, że poeta-historyk przez to właśnie wysunięcie na bliższy plan szlachetniejszych uczuć Lubomirskiego, złagodził nieco ponure tło jego działalności, przez cò bohater zyskał na sądzie u potomności, a prawda historyczna nie na tem nie ucierpiała. Lubomirski nie mógł być zupełnie bez winy, nie mógł też być tylko ofiarą dworu i dlatego na zupełne potępienie nie zasłużył — był człowiekiem.

Dla zrównoważenia sądów historyi i poezji, przytaczamy charakterystykę Lubomirskiego, skreśloną na podstawie jego własnych listów przez prof. Czermaka, który malując tę postać, nie szczędził jaskrawych barw i zdawał sobie dokładnie sprawę z rozmiarów i znaczenia Lubomirskiego: „Charakter tego człowieka — pisze prof. Czermak — nie przestaje być

dla nas zagadką w części przynajmniej. Jakie okoliczności złożyły się na wyrobienie dziwnej tej w każdym razie natury, dzisiaj jeszcze odpowiedzieć nie jesteśmy w stanie. To pewna, że w chwili, gdy marszałek stanął przeciw dworowi, niższe popędy stanowczo wzięły w nim górę nad pierwiastkami zacnymi. Między namiętnościami jego zdaje się przodować ambicya: między dobrymi przymiotami wymowa i niepoślednie wykształcenie. „Le renard“ nazywa go zwykle Sobieski w swoich listach synonimowych — i nie było to bez myśli i skrytego przytyku. Leżało bowiem istotnie w charakterze marszałka coś z lisiej natury. Skryty, podstępny i fałszywy w gruncie serca — a z pozoru uprzejmy, słodki i przyjacielski, gra on całe życie rolę dwuznaczną i zagadkową.

Gniew, nienawiść, wściekłość nawet, które nim nieraz miały, umie trawić i zamykać w sobie: ale te strawione uczucia wpijają się w umysł jego głęboko i niby gangrena, szerzą się zwolna coraz dalej i zatrująją w nim wszystkie dobre pierwiastki.

Byłto jakby Wallenstein, lecz bez wyniosłości jego ducha i bez szlachetniejszych idei, jak Cromvell, lecz bez jego siły, woli i tęgości.

Wykręt i podstęp — to była jego broń zwyczajna. Nie występował nigdy otwarcie do walki. Nie spojrział śmiało w oczy przeciwnikom: kopał pod nimi dołki, krążąc z daleka i z daleka zadając im ciosy“.

W Jaśle, dnia 23. maja 1902 r.

St. Koprowicz.



P
7307